

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Dla kogo żyjesz?

Dla kogo żyjesz, droga dziecińco.
Dla kogo będziesz działać na świecie?
Kiedy dziecięce lata przemina,
Czy wiesz ty komu poświęcić życie?

Najpierw, dziecińco, ten Bóg, co stworzył
I co cię w wszystkie opatrzył dary,
Co ci w serduszek miłość położył,
Ma prawo żądać twojej ofiary.

Potem ojczyzna, ta Polska święta,
Którą nam wrogi skuli w kajdany,
Wyciąga dłoń swą, bólem przejęta,
I woła: Synu zagój me rany!

Rodzice dobrzy, co cię chowali,
Dając dowody szczerzej miłości,
I co nad tobą lata czuwali,
Ci mają prawo do twej wdzięczności.

A potem, potem wszystkich tych ludzi
Kochać i wspierać dziećle potrzeba,
Co w krwawym, ciężkim pracują trudzie
A często brak im kawałka chleba.

Gdy ten cel w życiu świecić ci będzie —
I dążyć szczerze doń chcesz dziecińco
Uszczęśliwiając zawsze i wszędzie
I własne latka w szczęściu ci miną.



Z życia Jasia.

X.

Z Gibraltaru do Malagi podróżni nasi przepłynęli na niewielkim statku żaglowym. Malaga miała być pierwszym ich odpoczynkiem na ziemi hiszpańskiej, Miasto podobało się niezmiernie; klimat jest tu nadzwyczaj przyjemny, niebo błękitne, bez chmur, a burze rzadko nawiedzają ten zakątek ziemi.

Pan Kaliński od czasu, gdy usiłowano porwać mu chłopca w Genui, pilnował go jak oka w głowie i nie pozwalał mu nigdy samemu wydalać się z hotelu.

Pewnego dnia pan Kaliński przechadzał się z Jasiem nad brzegiem morza, oddychając z rozkoszą ożywczem powietrzem morskiem.

— Wsiądźmy do łódki i popłynemy na morze — rzekł Jaś — fale dziś takie spokojne.

— Płynmy — zgodził się pan Kaliński i obejrzał się, szukając wzrokiem przewoźnika.

Przysunęło się ich kilku, lecz jeden szczególnie zaczął natarczywie zapraszać do swojej łodzi, w której leżało dwóch ludzi.

— Kto są ci ludzie? — zapytał pan Kaliński.

— To krewni moi — odparł Włoch.

Uspokojony tem zapewnieniem pan Kaliński rzekł do Jasia:

— Siadaj!

Lecz skoro tylko Jasio wsiadł do łódki, śpiący ludzie zerwali się na równe nogi i pochwycili chłopca, a jednocześnie przewoźnik odepchnął łódź od brzegu silnem uderzeniem wiosel.

Jasio zaczął krzyczeć przerażony, w jednym bowiem z tych ludzi poznał swego dawnego prześladowcę.

— Wielki Boże! — zawołał pan Kaliński,

— czyżbym teraz miał utracić mojego drogiego chłopca?

Zawołał najbliższego stojącego przewodnika i kazał mu dążyć za uciekającą łodzią.

— Zapłacę ci ile zechcesz — powtarzał — lecz wyteżaj siły i staraj się doścignąć tych rabusiów.

Ci, którzy pozostali na wybrzeżu, z najwyższą ciekawością przypatrywali się tej scenie.

— Biedny chłopiec — powtarzali — ach, żeby opiekun mógł go dogonić i odebrać!

Tymczasem gonitwa trwała już dosyć długo; pan Kaliński drżał z obawy i niecierpliwości.

— Prędzej, prędzej! — powtarzał urywanym głosem.

Wkrótce przestrzeń pomiędzy dwiema łodziami zaczęła się zmniejszać. Pan Kaliński słyszał już głos Jasia, wzywający wciąż ratunku.

— Nie lękaj się, mój chłopcze! — krzyknął co miał siły — nie opuszczę cię, bądź spokojny.

W tej chwili rabusie, widząc, że łódź goniąca ich znajduje się już bardzo blisko, pochwycili Jasia i rzucili go w morze. Okrzyk bólu i rozpacz wyrwał się z piersi pana Kalińskiego, który myślał, że już nie ujrzy więcej swego wychowanka. Wtem Ali, jeden z przewodników, który wybornie umiał pływać, wskoczył w morze i znikł również pod wodą. Nastąpiła chwila okropnego oczekiwania... Pan Kaliński dłonią przysłonił oczy.

Wreszcie wynurzyła się z wody najpierw kędzierzawa głowa Alego, a potem cała jego postać. Jedną ręką przyciskał on do siebie Jasia, którego głowa zwisała bezwładnie.

— Nie żyje! — krzyknął z rozpaczą pan Kaliński.

Lecz już przewodnicy zajęli się ratowaniem Jasia i po długiej chwili chłopczyzna westchnął i otworzył oczy. Ujrawszy przy sobie pana Kalińskiego, uśmiechnął się, poczem omdlał powtórnie. Otrzeźwiono go jednak i skierowano się do lądu. Rabusie znikli tymczasem, zboczywszy za skały.

Przestrach i przymusowa kąpiel źle oddziaływały na zdrowie chłopca. Na drugi dzień po tej nieszczęśliwej wycieczce na morzu Jaś dostał gorączki. Niepokój i trwoga zaczęły znów szarpać sercem pana Kalińskiego. Dzięki Bogu, skończyło się na obawie. Wezwany doktor oznajmił, że nie ma nic groźnego i w istocie po kilku dniach Jaś uczuł się zupełnie zdrowym.

— Teraz możemy znowu rozpocząć naszą wędrówkę — rzekł pan Kaliński.

Jakoż w dwa dni później opuścili Malagę.

— Trzeba zwiedzić trochę okolice — mówił opiekun Jasia. — Dotychczas widzieliśmy tylko miasta.

Stosownie do życzenia, podróżni nasi zapu-

ścili się w góry Iberyjskie, które przecinają Hiszpanię w kierunku północno-zachodnim. Okolice są tu prześliczne, ale mieszkańcy są biedni, nieoświeceni i leniwi. Kolejno zatrzymywał się pan Kaliński we wszystkich miastach Andaluzji. Tym sposobem poznali Grenadę, której budowlę bardzo przypominają Tanger, zwiedzili w Grenadzie wspaniałą pałac Alhambra, zbudowany przez Maurów. Potem byli w Kordowie, mającej także cechy miasta mauryńskiego, ale najchętniej pan Kaliński zatrzymywał się w małych miasteczkach, oddalonych od kolei żelaznych, w takich bowiem miejscowościach można było spotykać prawdziwe hiszpańskie stroje i ubiory. Najdłużej zatrzymali się w Badajoz, a stamtąd, przejeżdżając od wioski do wioski, pragnęli dojechać do Toledo, do Madrytu, a może nawet do Lizbony.

Gdy zapuścili się w góry Sierra di Toledo, zdumieni byli pięknnością roztaczających się przed nimi krajobrazów. Trzody kóz ukazywały się na skałach, ponad drogą, którą jechali na mułach, to znowu widać było wsie, przyczepione do olbrzymich skał, jak orle gniazdo.

— Bałbym się mieszkać tak wysoko — mówił Jaś, spoglądając na chaty, zbudowane na takich wyniosłościach.

— Przyzwyczailbyś się — odpowiedział pan Kaliński — nam, mieszkańcom równin, życie wśród skał i urwisk wydaje się groźnym i nieprzyjemnym, ale kto się urodził, żyć bez tych gór nie może.

Pan Kaliński zwrócił uwagę Jasiowi na to, że wogóle wszystkie pochyłości gór są z jednej strony okryte bujną roślinnością i mają ziemię urodzajną, a z drugiej strony nagie i strome.

Droga stawała się coraz przykrzejsza, muły postępowały nad brzegiem przepaści. Jasie zsiadł z muła, a pochyliwszy się nad wózkiem, rzucił w głąb kamień: upłynęło kilka chwil zanim kamień doleciał do dna wąwozu.

Słońce schylało się ku zachodowi i przewodnik prosił, aby podróżni nasi poganiali muły.

— Musimy się spieszyć — rzekł — aby przed nocą dostać się do jakiej karczmy, gdyż nocować w górach nie bardzo bezpiecznie.

— A jakie nam tu może grozić niebezpieczeństwo? — zapytał pan Kaliński. — Chyba w razie deszczu albo burzy, ale nie zanosi się na niepogodę.

— A rozbójnicy? — szepnął trwożnie przewodnik, oglądając się na wszystkie strony.

— Co ty pleciesz? — zawołał pan Kaliński — skądby się tu wzięli rozbójnicy?

— Są, są, proszę pana — mówił przewodnik — niech nas Bóg strzeże od tego, abyśmy ich mieli spotkać.

Jaś zląkł się. A nuż z poza skały wysunie

się kilku bandydatów? Brr! aż dreszcze przechodzą na myśl o takim spotkaniu. Ach! żeby też jak najprędzej znaleźć się w gospodzie... Bał się w tej chwili każdego szelestu, zdawało mu się, że za każdym załomem skały kryje się napastnik. Lecz skały nie ukrywały wśród siebie nic tajemniczego, i podróży nasi szczęśliwie dojechali do zajazdu, gdzie postanowili przepędzić noc i odpocząć choć dzień cały.

XI.

Po jednodniowym odpoczynku pan Kaliński z Jasiem wyruszył w dalszą drogę. Jaś był zachwycony mulem, na którym dalszą miał odbywać drogę.

— Jakie to łagodne i miłe stworzenie! — mówił, głaszcząc zwierzę po szyi.

— Nie można mu znów tak bardzo dowieńczać — odpowiedział pan Kaliński — potrafi on być upartym i nieposłusznym.

— Ale gdzież tam! — zaprzeczał Jasio — niech pan patrzy, jak on wygląda potulnie.

— Pozory często mylą — odpowiedział, śmiejąc się pan Kaliński i zwrócił się do przewodnika, który zaczął mu coś opowiadać.

Jaś rozglądał się po okolicy; zachwycały go góry porośnięte lasem i rozmaitymi krzewami, parowy i wąwozy, w które lękał się spojrzeć, aby nie doznać zawrotu głowy. Na skałach rosły kaktusy najrozmaitszych kształtów.

Dokąd jedziemy teraz? — zapytał pana Kalińskiego.

— Do Sewilli — odpowiedział opiekun Jasia.

— Czy to miasto?

— Miasto, nawet duże.

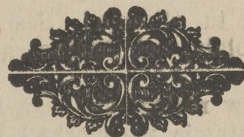
— O! to chciałbym je ujrzeć jak najprędzej.

— Bądź cierpliwy, wkrótce zobaczysz Sewillę.

Zajęty rozmową, Jaś nie uważał, że muł zaczął okazywać jakiś niepokój; strzygł uszami i kręcił głową w lewo i w prawo. Oczywiście zapachniały mu jakieś górskie roślinki, których miał ochotę spróbować, jakieś osty, których dawno może nie jadł. Nagle, korzystając z tego, że Jaś lekko trzymał cugle, puścił się galopem, skreślił w bok, pędził czas jakiś i wreszcie wpadł w kępę kaktusów. Jaś z całej siły pociągnął lejce do siebie, w gwałtownym biegu kapelusz spadł mu z głowy. Biedny chłopczyk nie mógł wstrzymać muła, który potknął się o kaktusy. Jaś zachwiał się i wypadł z siodła w sam środek kolących krzewów. Okrzyk bólu wyrwał mu się z ust, chciał się podnieść, lecz za najłżejszem poruszeniem kaktusy kiwały go i drapały boleśnie. Chciał wołać o pomoc, ale pomyślał sobie, że pan Kaliński pozostał daleko i usłyszeć go nie może. Położenie Jasia było rzeczywiście rozpaczliwe.

Wreszcie biedny chłopczyna zdobył się na odwagę i upatrzawszy jakąś trochę gładszą gałąź kaktusa, uchwycił ją i podźwignął się z ziemi; następnie z trudem wydostał się z pomiędzy kolących krzewów i zaczął z poranionych rąk wydobywać kolce kaktusów. Łzy puściły mu się z oczu. Co teraz poczeje sam, opuszczony, bez opieki dobrego pana Kalińskiego? Jak sobie teraz poradzi wśród obcych? Biedny Jasio płakał coraz boleśniej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



SOSNA.

Na wzgórku pod lasem rosła sosna. Stara była, napróżniała trochę; ale jeszcze trzymała się krzepko, przewyższając głową swe towarzyski. Dzieciół odwiedzał je często.

Bywało przyleci, a siadzie na drzewie, a obchodzi je, obchodzi węzykiem wkoło i puka i kuje ostrym dziobem, aż rozlega się po lesie. Potem wsuwa język w zrobiony otwór i wyjada brzydkie robaki, które sosnę toczą.

Kuracya pomagała sosnie, lecz nie na długo.

Tak kochała siostry towarzyski, wśród których była najstarsza, i dziatwę, tulącą się do piersi matki, i te wrzasy różowe, zaścielające u stóp jej ziemię, które wiatr kołysał niby drobne płomyki, i smołki pachnące, a nadewszystko ten szmat czarny piaszczystej ziemi, na której wzrosła i której sokami się karmiła.

Niech-no w marcu czy kwietniu poczuje nasza sosna ciepłe podmuchy wiosny, już nabrzmiewają końce jej gałązek; niech-no słońce-dogrzeje, już płacze z radości woniejącymi kroplami żywicy.

Jedna tylko rzecz trapiła ją srodze, to jest trapiłaby, gdyby sosna mogła czuć i myśleć tak, jak inni ludzie. Chciała się odwdziżyć ziemi karmicielce, a nie wiedziała czem, chciała coś zrobić, a nie umiała.

— Tyle już lat żyję na świecie. Wciąż, wciąż, biorę dary od ziemi, powietrza, słońca, w zamian nic za to nie dając nikomu. A to tak smutno być nieużyteczną.

Więc też biedactwo co mogła, to robiła, byle się przysłużyć drugim.

Sierota — wiewiorka usłała sobie gniazdo w jej pniu spróżniałym, a ona przygarnęła ją troskliwie i cieszyła się, gdy zimą pod osłoną jej wyschłej piersi, drobne serduszek uspiętego zwie-

rzątka było równo i spokojnie, cieszyła się, gdy zbudzona ze snu jądrem jej szyszek, głód zaspokoić mogła.

A już ptaki, to ją chmarami całemi obsiadały. Nigdzie im tak dobrze się nie śpiewało, jak na tej sośnie staruszcze. Raz do roku odwiedzała ją jeszcze inna drużyna.

Tej to najwięcej szsna była rada.

Blade twarzyczki dzieci miejskich rumieniły się, w smętnych oczętach płonęły iskry radości, gdy biegały po wrzosach, lub zrywały nikle gwoździki leśne.

— Ach, jak tu ślicznie! Sosenko, jak ty pachniesz! — wołały, obejmując rączynami jej pień spróchniały.

Ciasami znów rozległ się okrzyk:

— O! o! patrzcie wiewiórka! Ptaszki! Jakże tu pięknie.

A tam wcale pięknie nie było!

Ot piasek... sosny... wrzosów trochę, gwoździków i smolek garsteczka.

Ale dla nich, zamkniętych całe długie miesiące w ciasnych bez światła, bez powietrza pokojach, był to raj prawdziwy.

Niewiadomo dla czego, lecz i te nowe przelotne ptaszyny lubiły się gnieździć pod starą sosną na wzgórk.

Tam i ptaszki piękniej im śpiewały i żywica pachniała silniej i wrzosi były bardziej różowe.

Cieszyła się też wtedy sosna, zupełnie jak gdyby ludzkie serce miała, więcej jeszcze nawet niż wówczas — gdy skowronki przylatywały z oznajmieniem, że wiosna wraca.

Lecz i na sosnę przyszły ciężkie chwile.

Ach i jak ciężkie!

W cichym dotychczas lasku rozległ się raz stuk siekiery i rozległ się potem coraz częściej. Padwały smukłe drzewa, zmiatając ziemie długimi gałęziami, a ludzie kładli je na wozy, ląb rabali w kawały i wywozili daleko.

I ptaków wciąż ubywało. Nawet dzieciół gdzieś odleciał.

Wiewiórka tylko dotrzymała placu.

Chciano ją już kilka razy złapać, ale uciekała zawsze na sam wierzchołek sosny.

Któżby ją tam mógł dogonić?

— Co się to robi z memi siostrami? Dlaczego je ludzie ścinają? Tak mi ich żal bardzo — zaszemrała sosna do starego wróbla.

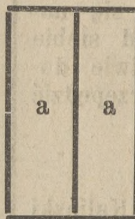
Wróbel, wielki, jak wiadomo, bywalec, pokręcił lebką.

(Dokończenie nastąpi).

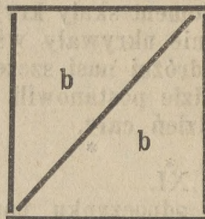


ŁAMIGŁÓWKI.

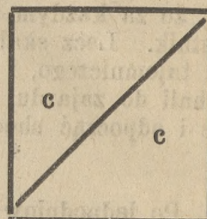
I.



A



B



C

Z sześciu części powyższych trzech kwadratów, z których kwadratów A i C są do siebie przystające, a kwadrat B jest czwartą częścią kwadratu A i C, złożyć nowy kwadrat przez stosowne połączenie tych części.

Dla ułatwienia należy części te powycinać z papieru, a wówczas, najmłodsi czytelnicy z łatwością je rozwiążą.

Szarada.

Najpierwsza jest litera, trzecia na wspak rzeka, Co przez piękną krainę do Wisły ucieka; Weź ją w tym samym kształcie, dołóż drugą do [niej,

Będzie droga wyborna miło jeździć po niej. Wszystko owoc, co z kształtu nie bardzo pozorny, Ale drogo kosztuje, a smak ma wyborny.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 39.

I.

- 1) Korsyka.
- 2) Algierja.
- 3) Marsylia.
- 4) Jezo.
- 5) Edynburg,
- 6) Nanking.
- 7) Indye.
- 8) Egipt.
- 9) Celebes.

II.

Wór — Rów.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 39 Anioła Stróża nadesłali: I i II Stefan Grzenia z Świecia; I Kostancya i Marta Głowczewska z Kaszuby; II Jan Szulc z Poznania; II Paweł i Wawrzyniec Miotk z Różnegodębu.